

Callas Boska Janda

- Reżyseruję, żeby porozmawiać z widzami, gram po to, żeby im sprawić radość, wzruszyć, namawiać do dobra, tolerancji, pokazywać okropności duszy ludzkiej i jej piękno – mówi KRYSTYNA JANDA, aktorka, reżyserka, szefowa dwóch teatrów, która przygotowuje w łódzkiej operze „Straszny dwór” Stanisława Moniuszki. Premiera – 18 października.

Magdalena Sasin: - Podobno już nieraz otrzymywała pani propozycje reżyserowania opery, ale zawsze odmawiała. Co skłoniło panią do przyjęcia propozycji Teatru Wielkiego w Łodzi?

Krystyna Janda: - Przede wszystkim to, że ma to być „Straszny dwór”. Bardzo lubię tę operę, od dziecka, tak jak i widzowie. Jest porywająca.

Na swoim blogu pisze pani o przygotowaniach do łódzkiej premiery: „Dużo pracy, ale za to jak interesującej!”. Co jest dla pani w tej pracy najciekawsze? A co najtrudniejsze?

- Wydaje mi się, że najtrudniejszy był okres przygotowawczy, konieczność podejmowania decyzji artystycznych, których przy tak wielkiej machinie realizacyjnej nie da się później zmienić. Kostiumy i scenografia zaczęły powstawać już na przełomie maja i czerwca. Generalne decyzje musiały być podjęte wcześniej.

Czy przygotowywała się pani do tego zadania w szczególny sposób?

- Nie. Reżyseruję od ponad 20 lat, kierowałam dużymi, także kosztownymi produkcjami. Postępuję jak zwykle: najpierw długo zajmuję się tematem, epoką, historią wystawień danego tytułu. Odpowiadam sobie na podstawowe pytania: po co to robię, co chcę opowiedzieć, dlaczego i jak. Jak w tym momencie opowiedzieć to dzisiaj.

A zatem: jak w tym momencie opowiedzieć „Straszny dwór”?

- To wydaje mi się najpiękniejsza opera narodowa, napisana ku pokrzepieniu serc, w trudnym dla Polski momencie powstania styczniowego. Opera wypełniona patriotyzmem i miłością do naszych tradycji, zalet i przywar. Chciałabym, aby wszystko to zostało podkreślone, błyszczało, było bliskie. Rezygnuję z siermiężnej sarmackości na rzecz romantyzmu.

Czym różni się reżyserowanie opery od pracy nad spektaklem dramatycznym?

- W operze trzeba absolutnie podporządkować się rygorom muzyki i stworzyć jak najlepsze warunki wykonawcze, bo muzyka, suma brzmienia, jest tu najważniejsza. O pomysłach reżyserskich, inscenizacyjnych, które przeszkadzają muzyce i artystom, należy zapomnieć. Praca w operze to praca w ograniczeniu inscenizacyjnym, w reżimie, jakiego teatr „mówiony” nie zna.

Grała pani postacie śpiewaczek operowych: Marii Callas oraz Florence Foster Jenkins („Boska”). Czy to zbliżyło panią do opery?

- Świat opery fascynował mnie dużo wcześniej, od zawsze. Ale niewątpliwie zagranie Marii Callas i ciągłe spotkania ze światem opery, zakulisowe także, poznawanie tematu, wchodzenie w repertuar muzyczny, rozpoznawanie go z racji przygotowywania się do roli Callas – to wszystko mnie do opery zbliżyło.

Czy dla potrzeb wymienionych ról uczyła się pani śpiewać?

- Nie (śmiech). Wymogi tych ról nie były aż tak duże.

„Straszny dwór” niekiedy porównuje się do Fredrowskiej „Zemsty”. Czy pani potwierdza tę analogię i wykorzystuje ją w inscenizacji?

- I do „Zemsty”, i do „Ślubów panieńskich” też. Tak, to bardzo bliskie Fredrze. Reżyserowałam Fredrę i grałam Anielę w „Ślubach panieńskich”, Elwirę w „Mężu i żonie”, panią Dobrońską także. Fredro jest mi bardzo bliski, ale tutaj moja wiedza i doświadczenia aktorki nie mają specjalnie zastosowania.

Obecnie wiele inscenizacji operowych podlega uwspółcześnieniu. Czy akcja łódzkiego „Straszego dworu” będzie się dziać w czasach przewidzianych przez kompozytora, czy bliższych widzom?

- Przeniosłam akcję w czas powstania styczniowego: zimę 1863 i 1864 roku. W czas, w którym Moniuszko pisał tę operę. Tyle.

Co do spektaklu wnoszą współrealizatorzy - scenografka czy projektantka kostiumów?

- Magdalena Maciejewska jest doświadczonym, znanym scenografem, pracowałyśmy razem wielokrotnie. Do jej wyobraźni i nieprawdopodobnego wręcz ładu estetycznego i gustu mam wielkie zaufanie. Dorota Roqueplo, z którą też pracowałyśmy i w teatrze, i w telewizji, i filmie, na pewno stworzy wspaniałe kostiumy, wszystko podporządkowane wspólnej wizji przedstawienia inspirowanej malarstwem Artura Grottgera. Choreograf Emil Wesołowski, który jest cały czas ze mną, sam reżyserował „Straszny dwór”, a choreografię do tego utworu tworzył wielokrotnie, jest dla mnie tutaj nieocenionym współpracownikiem i dodatkowo mam przy nim pełne poczucie bezpieczeństwa. Ludzi, których zastałam w operze - artystów, pracownię, obsługę - znajduję na bardzo wysokim poziomie. Mam nadzieję, że ja nie zawiodę. Jedyne szkopuły, że wszystko to: koncepcję, pomysły i charakter całości ustaliłam z panem Wacławem Kuncem, który mnie angażował, a w tej chwili już go nie ma w łódzkiej operze. Ale staram się realizować wszystko według tego, jak było ustalone.

Jak długo pracowała pani w Łodzi przed premierą?

- Od 19 sierpnia trwają próby, a uroczysty pokaz z okazji jubileuszu 60-lecia opery jest zaplanowany na 17 października. W międzyczasie mam jeszcze spektakle do grania w Warszawie i inne zobowiązania w Polsce, ale opera w niedziele i poniedziałki nie pracuje, a do Warszawy jadę godzinę dwadzieścia, więc udaje się to jakoś pogodzić. Prowadzę fundację zarządzającą dwoma teatrami warszawskimi [Fundacja Krystyny Jandy Na Rzecz Kultury - przyp. red.] i jestem tam niezbędna, dlatego przyjeżdżam do Łodzi tylko na próby i nie zostaję na noc, ale... wszystko to zostało zorganizowane i przebiega dość sprawnie.

Jak się pracuje z łódzkimi artystami?

- Jesteśmy po pierwszym okresie prób. Wydaje mi się, że sprawy idą pomyślnie. Mam łatwość komunikowania się z ludźmi, jestem sugestywna, a sprawy muzyczne, w sensie poznania partytury i libretta, są dawno za mną. Mam też koło siebie wielu, którzy się na tym znają lepiej niż ja. A pan Piotr Wajrak, dyrygent i de facto szef całego przedsięwzięcia, czuwa cały czas. Atmosfera jest sprzyjająca.

Jak pani wspomniała, w „Strasznym dworze” istotnym wątkiem są uczucia patriotyczne. Jak postrzega pani współczesny patriotyzm w takim kraju, jak Polska?

- Jak mówiłam, akcenty patriotyczne będą w przedstawieniu silnie akcentowane. Dbam o to bardzo i na to uczulam wszystkich współpracowników. Ale jest to także opera komiczna, zabawna, trzeba to starannie wyważyć. Co do mojego patriotyzmu, dałam mu wyraz w całym moim życiu zawodowym.

Prowadzi pani dwa prywatne teatry: Polonia i Och-teatr. Z jakimi nietypowymi wyzwaniami trzeba się tam mierzyć?

- To nie są prywatne teatry! Prostuję to od początku. To jest fundacja, tam nie ma żadnej prywatnej firmy. Teatr prywatny to taki, w którym zyski idą do kieszeni właściciela, tutaj idą na cele statutowe, czyli do fundacji, na prowadzenie teatrów, nowe produkcje teatralne przede wszystkim. To gwoździ wyjaśnienia i wiecznych sprostowań. A wyzwania? Ogromne. Ta fundacja jest dziełem mojego życia. Oddałam sprawę prowadzenia teatrów wszystko. Doświadczenie, pieniądze, nazwisko i całą siebie. To, że reżyseruję teraz w Łodzi, jest pierwszym tak naprawdę rozstaniem z naszymi teatrami i to też, jak już mówiłam, nie do końca. Gramy ponad 800 razy rocznie, mamy w repertuarze ponad 50 tytułów. Jestem bardzo dumna z tego, czego dokonaliśmy, niemniej to odpowiedzialność i wieczne zmartwienie. Utrzymujemy się sami. I jeszcze jedno: gdyby się nie udało, gdyby się zawaliło, konsekwencje poniosę ja prywatnie, finansowe także, bo to ja sobą i swoim majątkiem gwarantuję i odpowiadam za tę fundację. A zobowiązań mamy mnóstwo.

Jaką rolę odgrywa muzyka we współczesnym teatrze dramatycznym?

- Ogromną. Jak wiadomo powstały wspaniałe utwory komponowane specjalnie dla teatrów, do spektakli. Muzykę często się zamawia także teraz przy kolejnych premierach, ale... są to zwykle bardzo wysokie koszty i coraz rzadziej teatry mogą sobie na to pozwolić.

Mawia pani o sobie, że jest „maszyną do grania”. Czy ostatnio staje się też pani „maszyną do reżyserowania”?

- Oba rodzaje twórczości są mi bliskie. Ale nie we wszystkim mogę zagrać, z powodów czasowych także nie mogę robić wszystkiego. Mówiłam o sobie, że jestem „maszyną do grania” z goryczą, przed długi czas „utrzymywałam” jakby naszą fundację, grając codziennie, nawet dwa razy dziennie. Teraz już nie muszę.

Czy, reżyserując, przekazuje pani widzom swoją wizję świata?

- W pewnym sensie, ale aż świata? Nie. Często reżyseruję, żeby z nimi zwyczajnie porozmawiać, gram też po to, żeby im sprawić radość, wzruszyć ich czy poruszyć, zwrócić uwagę na pewne rzeczy, namawiać do dobra, tolerancji, pokazywać okropności duszy ludzkiej i jej piękno. Jeśli tak, to używajmy już wielkich słów, bo czemu nie.

Czy zgadza się pani z mottem Marii Callas, że „życie bez sztuki nie ma sensu”?

- Dla mnie nie ma sensu. Sztuka wykorzystuje i budzi uczucia wyższe, a bez uczuć wyższych życie nie ma sensu. Oby tak było także dla jak największej liczby widzów.

Foto: Dariusz Kulesza